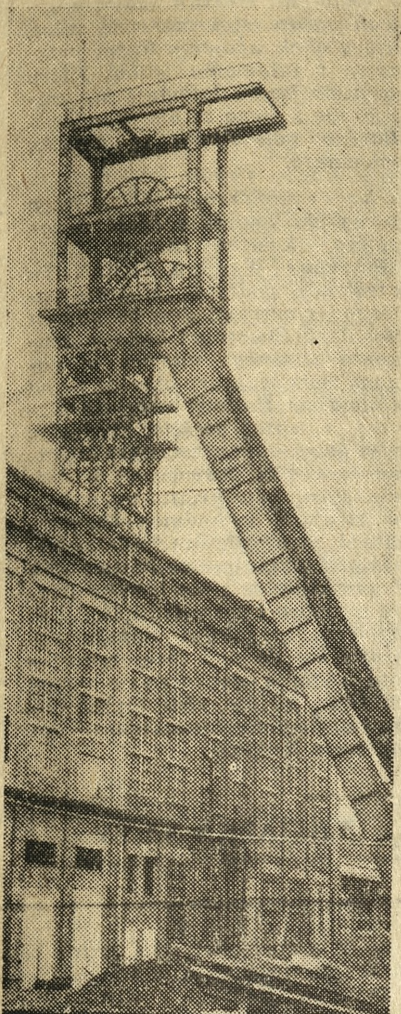


GÓRNICZA RANGA KŁODAWY



... W naszym zagłębieniu to rzadki symbol podziemnej kopalni...
Fot. — K. Przychodźki

Bogdan Rutha Jak przemawiał Hitler

OD REDAKCJI: Zamieszczony poniżej szkic Bogdana Ruthy ma podwójną aktualność. Po pierwsze dlatego, że w NRF wyraźnie odradza się neohitlerizm, czego dowodem są ostatnie sukcesy wyborcze partii NPD. Po drugie — ze względu na nowy film M. Romma „Zwyczajny faszyzm”, gdzie mamy okazję zobaczyć Hitlera przemawiającego, zarówno wtedy gdy był już u szczytu władzy, jak i wtedy gdy przegrywał się do walki o władzę (m. in. gdy uczył się przed lustrem gestów, które potem porywały tłumy).

Obserwowałem przemawiającego Hitlera z odległości kilku metrów. Było to pierwszego maja, z okazji święta nazi, w roku tysięcznej trzydziestym dziewięćdziesiątym. W Monachium w podziemiach starego ratusza, w słynnej piwnicy Bürgerbräukeller, która była kolebką ruchu. Przemawiał w jednej z tych ogromnych piwnic, pilnie strzeżonej, znalazłem się w niej tylko dzięki niezwykłemu przypadkowi.

Było to rzeczywiście zdarzenie niewiarygodne, bardziej jeszcze wydaje się takim czytelnikowi współczesnemu. A jednak udało mi się usnąć czujności straży. Oczywiście o powodzeniu zdecydował przypadek, a raczej szczęśliwy dla mnie zbieg okoliczności, w tym przede wszystkim złota odznaka partyjna, jaką przypięt mi do kłapy pewien pijany Bawarczyk. Pomogli mi też ludzie, którym zależało, abym tam się choć na chwilę znalazł).

Znacznie trudniejsze było opuszczenie tego niezwykłego zebrania, ponieważ z różnych przyczyn — o których byłoby tu za długo mówić — nie mogłem ryzykować doczekania końca. Lecz i tu mi — aż trudno dać wiarę — szczęście dopisało.

*) Autor w tym czasie brał udział w organizacji pomocy Hiszpanii Republikańskiej.

Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem wodza tego wielkiego kraju. Było to w chwili, gdy przemawiał. Z początku patrzyłem zdumiony, lecz bardziej jeszcze rozbawiony jak młotem się za mikrofonami, jak wygrażał światu. Szybko spostrzegłem, że nie było to miotanie chaotyczne. Zaczynałem pojmować. Nie widziałem dotąd nikogo tak przemawiającego. Pojąłem, że była to metoda starannie wyuczona. To właśnie wydało mi

Kłoda ma charakterystyczną wieżę z kręcącym się u jej szczytu kołowrotem wyciągu. W naszym zagłębieniu to rzadki symbol podziemnej kopalni. Turek i Konin mają inne symbole górnictwa odkrywkowego.

Górnicy Kłodawy „chrzczą” dopiero swoje szyby imieniem Michała, Barburki i Chrobrego; na swoje nazwy czekają liczne bezimienne pokłady i chodniki. Bo mała Kłoda ma już historię, lecz dopiero tworzy górnictwo dla swojej kopalni.

Jacy są ci górnicy, rządzący tym miastem? Co się o nich mówi? Co oni sami czują, myślą, jakie są ich sukcesy i troski? Oddajmy im głos w dniu górniczego święta.

INŻYNIER URSZULA

Inż. Urszula Chwałek, geolog: — Mój związek z kopalnią? Bardzo dawny i bliski. Najpierw ojciec, nauczyciel, osiedlił się w Kłodawie w okresie poszukiwań naftowych w tym rejonie. Znalaziono sól, on tu jednak wraz z nami pozostał i pracuje do dziś w kopalni. Ja tymczasem rosłam razem z nią. Imponowała mi, pociągając zawód, wstąpiłam więc na Akademię Górniczo-Hutniczą, wiedząc że powrócę do Kłodawy.

W kopalni pracuję od 6 lat. Mam męża, który jest sztygarem w blisko z nami związanym Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń. Syn ma 3 lata. Czy będzie górnikiem? To jednak ciężki zawód i niebezpieczny. Sama nie myślę jednak zrezygnować z górnictwa.

CO DAŁA SÓL

Bernard Szadkowski, I sekretarz KP PZPR w Kole: — Kopalnia Sól jest dla powiatu największym zakładem pracy o zdolności wydobywczej 360.000 ton soli kamiennej rocznie. Dotychczas kopalnia kosztowała prawie 840 mln zł, a kosztować będzie jeszcze pół miliarda. Od kilku lat prowadzi ona poważne inwestycje — co roku 100 mln zł. Dzięki temu za 5 lat wydobywać będzie 750.000 ton, a później 1,5 mln ton rocznie. Kłoda stanie się wówczas największą kopalnią soli w Polsce i jedną z największych w świecie.

W mieście tym żyje z górnictwa ponad 1000 rodzin. Pracownik zarabia tu średnio 2.700 zł. Sól wstrzykuje się nieuchronnie przedtem degradację miasta, zapewniła mu awans gospodarczy i społeczny. Kopalnia pomaga likwidować komunalne kłopoty Kłodawy własnymi funduszami, sprzętem, pracą.

POD ZIEMIĄ NIEBEZPIECZNIE

Czesław Kukawka, sztygar oddziału dolowych urządzeń elektrycznych: — Nasza kopalnia jest zaliczona do III, najgorszego stopnia zagrożenia górniczego, z powodu występowania wody i gazu. Woda, przedostająca się z zewnątrz może rozmyć pokłady soli, tworząc puste niebezpieczne komory grożące zawaleniem. A znów siła ciśnienia między pokładami gazu może spowodować wybuch.

Dlatego ostrzegaliśmy w pokładach odbywa się jednocześnie w całej kopalni, po zejściu górników z ur-

bisk. Wysoki stan zagrożenia górniczego wiąże się również z koniecznością stosowania przeciwybuchowej instalacji elektrycznej i urządzeń.

Dla nas, elektryków, praca ta na dole jest szczególnie odpowiedzialna: wystarczy przecież źle połączyć przewody, by spowodować spiekanie, iskrę, która akurat może paść w szczelinę, skąd wydobywa się gaz.

NASZE TRADYCJE

Marian Zabłocki, technik strzałowy: — Odmienność górnich tradycji Kłodawy polega na tym, że choć nie ma ona więcej niż 15 lat, pracują tu już dwa pokolenia. Mammy z 60 górników, którzy po kilku latach adaptowania się w nowym zawodzie, przysłali także synów. Ci jednak pracę zaczęli inaczej niż ojcowie — są na ogół po szkole zawodowej lub technikum. Choć ci młodzi przyszli nieco później, są nie gorszymi fachowcami, a przy tym nową technikę kopalni chłoną szybko. Są bystrzejsi, toteż już awansują na równi ze starszymi.

Zatęli się także dawne konflikty z początków kopalni. Nasi sąsiedzi — rolnicy, którzy wówczas niechętnie godzili się na wykup ziemi pod budowę „Kłodawy” i krzywym na nas patrzyli okiem — dzisiaj posyłają nam swoich synów. Tak zrobił Michałak, Osińczak dał nam trzech swoich synów i sam z nimi przyszedł do kopalni.

TRZEBA SIĘ UCZYĆ

Kazimierz Turkowski, I sekretarz KZ PZPR w kopalni: — Przyszedłem tu w 1953 r., w 4 lata po rozpoczęciu budowy. W tym czasie urosła nasza organizacja partyjna. Dzisiaj tu już niemal połowa załogi!

Dzięki aktywnej i mądrej postawie zdobyliśmy autorytet wszystkich pracowników, otrzymaliśmy większe uprawnienia dla komitetu zakładowego. Chcemy powiększyć ten zasób zaufania, budując autorytet każdego członka naszej organizacji. Dla tego m. in. rzuciliśmy hasło do dalszej nauki.

Obecnie uczy się na wyższych uczelniach kilkunastu pracowników, młodzież zdobywa wiedzę w zasadniczej szkole zawodowej i w technikum. Kilkunastu robotników i górników zdobyło ostatnio dyplomy mistrzowskie. Nie udaje się nam jednak zachęcić do nauki wszystkich, którzy nie mają podstawowego wykształcenia.

BARBURKOWE DARY

Inż. Józef Zajackowski, kierownik oddziału Przedsiębiorstwa Budowy Kopalni: — Obecnie wykonujemy dla „Kłodawy” kompleksowy obiekt w postaci urządzeń wydobywczych i przetwórstwa soli z szybu nr 2. Inwestycja ta pozwoli uzyskać za dwa lata 750.000 ton soli rocznie.

Nasz upominek na ten dzień to łaźnia dla załogi „Kłodawy” oraz okręgowa Stacja Ratownictwa Górniczego, którą zbudowaliśmy przy kopalni.

MYDLANE SPORY, CZYLI O ORGANIZACJI

Kazimierz Brudnicki, górnik narzędziowy: — Czy można w taki dzień

o odzieży roboczej? Więc otrzymaliśmy zarządzenie, według którego z dwóch należnych nam ubrań roboczych na rok, zabrano nam... jedną marynarkę. Tymczasem nie starcza nam ta odzież, zwłaszcza ludziom przy maszynach, a i jakość jej jest kiepska.

Innym centralnym zarządzeniem zlikwidowano deputaty na pranie odzieży ochronnej w domu. Teraz sam zakład odsyła brudną odzież do pralni w Kaliszu. Jak też ona potem wygląda! Kuse portki i marynarka, rozlatujące się od źle stosowanych środków piorących. A przy tym wydawana jest ta odzież w czasie odpowiednim tylko dla magazynów.

NIEPOKÓJ CHEMIKÓW

Mgr inż. Kazimierz Kanlok, kierownik wydziału chemicznego: — Chodzi o oddział produkcyjny przeróbki karnalitu. Jest to sól potasowa, surowiec na nawozy sztuczne, ma on też duże znaczenie dla produkcji pochodnych z przeróbki tęgów, głównie tlenku magnezu i kwasu solnego, które interesują znów hutnictwo i chemię. W ciągu kilku lat prowadziliśmy badania nad metodą masowej przeróbki karnalitu z naszej kopalni. Opatentowaliśmy ją, posiadając oryginalny sposób zimnego rozkładu karnalitu na koncentraty.

Teraz pora zakończyć półtechniczną, eksperymentalną produkcję. Ma my metodę, brak jednak odgrębnej koncepcji i środków produkcji masowej pochodnych z karnalitu. To niepokoi szczególnie nas, chemików, którym „Kłoda” nie określa jasno ich perspektyw.

TO JEST ICH MIASTO

Jan Ryśkiewicz, przewodniczący Prezydium MRN w Kłodawie: — Nasze miasto zmienia rangę, awansuje szybko. Dzięki kopalni przybyło dotychczas 360 nowych mieszkań. Skorzystamy z kopalnianego rurociągu, stąd będzie nam bliżej doprowadzić wodę do miasta. Zaoszczędzi my milion złotych.

Kopalnia pomaga nam w budowie kina, ośrodka zdrowia, basenu kąpielowego, w oświetleniu ulic. Górnicy odstąpili nam pomieszczenia do produkcji wód gazowych, zapraszają do swojego domu kultury, jedynego ośrodka tego rodzaju w mieście. Dzień Górnika jest więc dla nas szczególną okazją do serdecznych powinszowań.

GEESIE, MY — GÓRNICY!

Tadeusz Szymański, pracownik młynarski solnego kopalni: — Beznadziejne jest zaopatrzenie naszego handlu. Np. sklep mięsny otrzymuje towar dopiero w południe, choć od rana jest otwarty. Denerwują się nasze żony, bo nie mogą zdążyć z obiadem, gdy idziemy na drugą zmianę. Nie ma w Kłodawie tanich wędlin, chleb jest tylko w jednym gatunku, choć GS na dożynki umiał pochwalić się kilkoma rodzajami pieczywa... Gmina Spółdzielni która ma tu największe sklepy traktuje nas jak... rolników. GS skupuje np. jajka, ale ich nie sprzedaje potem w sklepach, można je otrzymać jedynie w MHD. To może śmieszne, ale nie mamy tu w sklepach także... soli.

SERDECZNE ŻYCZENIA

Dr Stanisław Hwałek, dyrektor Kopalni Sól „Kłodawa”: — Ja swoje powiem za rok... Kiedy już będziemy mogli dawać więcej soli. Teraz zaś życzę załozie w Barburce spełnienia wszystkich życzeń, a także zdrowia i zrozumienia u rodzin, dla naszej niezwykłej tu pracy.

Rozmawiał: ZBILUT SEK

nie jak u śpiewaka, interpretacja i głos porywają słuchaczy, nie słowa piosenki.

Nie było wątpliwości, Hitler lepiej mówił niż pisał. Był organizatorem i mówcą w kraju, gdzie pierwszą umiejętnością ceni się nade wszystko, drugiej ulega z łatwością większą niż gdzieindziej.

Piwiarnia nosiła wtedy nazwę — Hofbrauhaus. Od razu gdy wszedłem podziemia zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Ogarneły mnie wielkie przestrzenie pełne dymu, hałasu, pijanych piwem, pełne okrzyków, stuku kufli o drzewo. Z sufitu wisiały czarne krzyże pośród czerwieni. Wielkie surowe ściany piwniczne pozbawione innych ozdób ukazywały jeszcze jaskrawiej to morze czerwieni, które jak ogromny czerwony ciężar wisiało z góry w kłębach dymu będących w nieustannym ruchu. Stoły i ławy stały w karnych szeregach, były długie, kantaste, przy nich siedziały całe rodziny, śpiewające i hałasujące.

Już po chwili straciłem poczucie czasu. Ledwie pamiętałem, że niedawno, kiedy porzuciłem pełną słońca ulicę i wszedłem w chłodne

mury ratusza, było wczesne popołudnie wiosenne i niebo niebieskie. Sprawy tego świata przestały mieć znaczenie jakie miały tam na górze, na powierzchni ziemi. Były dalekie i działały się nie tutaj. To co przed chwilą miało wagę i znaczenie, teraz ledwie interesowało. Przyczyną tych na początku osobliwych i ucieśnionych doznań było niedotlenienie oraz upojenie niezwykle silnym zapachem piwa, doskonałego monachijskiego piwa, wypełniającym te piwnice od stulecia.

Stamtąd właśnie trafiłem do pomieszczenia, gdzie przemawiał Hitler. Była to wielka komnata w środku podziemi, strzeżona przez ogromnych gwardzistów w czarnych mundurach i czapkach z trzypięci czaszkami. Na piersiach i rękawach specjalne oznaki informowały, że należą do osobistej gwardii Fuehrera. W piwiarni można było znaleźć ubranych po cywilnemu, natomiast tu byli tylko same mundury. Brunatne i czarne. Wiało od nich grozą, karną bezwzględnością i żarliwością. Noszący je robili wrażenie ludzi, za których myśli kto inny, lecz również że wszyscy ze-

Dokończenie na str. 2

Feliks Biłos Przetwórnienie „złotego złota”

Korespondencja własna „Głosu” z Jugosławii

Znamy dziennikarza z Nowego Sadu, który był w Poznaniu, powtarzał: Wielkopolska to nasza Wojvodina. Istotnie, rozległe, nizinne tereny, zasobne wsie i miasteczka, przypominają nasz region. Jednakże zamiast piaszczystych gleb, Wojvodina pyszni się urodzajnym czarnoziemem. Dzięki doskonałemu warunkom glebowo - klimatycznym pełni rolę spichrza Jugosławii.

Podstawową kulturą uprawową jest tutaj kukurydza; dopiero na drugim miejscu pszenica. Obecność kukurydzy rzuca się w oczy na każdym kroku. Wyciska ona swe piętno na jesiennym krajobrazie, a nawet na architekturze zabudowań gospodarczych. W każdym bowiem obejściu stoją dziwaczne nieco w swym kształcie stodoły — wąskie i wysokie, z przewiewnymi ścianami, wypełnione złocistymi kolbami. Dla tej właśnie rośliny wybrałem się do Stapar, dużej i zasobnej wsi w pobliżu Somboru.

W naszych warunkach Stapar zaliczałby się raczej do miast. Liczy 4,5 tysiąca mieszkańców, posiada zwartą zabudowę, wyodrębnione centrum administracyjne - handlowe i usługowe. Tak właśnie wyglądają tutejsze wsie, ciągnące się nieraz parę kilometrów. Podstawą egzystencji tysiąca trzystu staparskich rodzin jest rolnictwo lub praca dla związanych z nim instytucji. W latach 1945 do 1957 istniała tu spółdzielnia produkcyjna, rozwiązana wskutek różnych konfliktów i trudności. Rolnicy gospodarują indywidualnie. W myśl obowiązującego w Jugosławii prawa własności, górna granica posiadania ziemi nie może przekraczać 10 hektarów użytków rolnych. Zabroniony ustawowo jest również obrót ziemią. Przeciętne gospodarstwo w Staparze liczy 6 do 8 hektarów.

Tego rodzaju struktura rolna z góry przesądza o tym, że praca w pojedynkę byłaby przeciwieństwem postępu, nowoczesności, efektywności. Dokumenty obrazujące wyniki gospodarstwa za minione 10 lat mówią wyraźnie, że gdzieś po rok 1963 nie żyło się w Staparze najlepiej; 38 kwintali kukurydzy z hektara doskonałego czarnoziemiu, to niewiele. Ale oto w rok później uzyskano już 60 kwintali, zaś dane najnowsze wykazują 75 kwintali ziarna kukurydzy z hektara. Jest to średni wskaźnik uzyskany przez wieś. Natomiast grupa plantatorów uprawiających tę roślinę na 360 hektarach legitymuje się 95 kwintalami, zaś najlepszy z nich uzyskał 115 kwintali ziarna z hektara. Jest to rekord w skali europejskiej a może i światowej. Stapar stał się sławny we wszystkich krajach, w których kukurydza stanowi podstawową kulturę uprawową. Przybywają więc liczne delegacje uczonych i praktyków, którzy ważą kolby, liczą i badają ziarno. Każda z kolb mierzy około 30 cm i zawiera 900 do 950 ziaren. Na adres rekordzistów nadchodzą dyplomy uznania i gratulacje m. in. przesłał je minister rolnictwa USA, kraju, gdzie uprawa kukurydzy postawiona jest wysoko.

Przełomowy rok 1963 nie był dziełem przypadku. Wtedy to właśnie zorganizowana została w Staparze „Zadruga” — spółdzielnia zaopatrzenia i zbytu, będąca symbiozą naszej GS i kółka rolniczego.

Dyrektor naczelny „zadrugi”, inżynier Zivojan Selim opowiada o drodze, jaką przebyli tutejsi rolnicy, o ich poszukiwaniach najbardziej efektywnych form zespołowego działania i rozwiązań ekonomicznych. Bo — jak mówi dyrektor — współczesne rolnictwo wymaga ścisłego powiązania pracowności, zapobiegliwości ze zdobyciami współczesnej agrotechniki, nowoczesnej organizacji procesów produkcyjnych, a ponadto cennych i skomplikowanych maszyn, niedostępnych dla indywidualnego rolnika. „Zadruga” spełnia wszystkie te postulaty: zabezpiecza rolnikom materiał reprodukcyjny dla upraw i hodowli, zaopatruje w nawozy mineralne, środki ochrony roślin, zajmuje się zbytem produktów rolnych, świadczy usługi mechanizacyjne.

Struktura wewnętrzna „zadrugi” zapewnia pełną kontrolę jej działalności przez radę wytwórców — reprezentantów społeczności wiejskiej. Ale rola wiodąca i inicjująca produkcji złożona została w ręce inżynierów — specjalistów od uprawy i

Dokończenie na str. 2

Jak przemawiał Hitler

Dokończenie ze str. 1

brani tu gotowi są w każdej chwili, oddać tylko od nich tego zażądają, właściwej ludziod, którzy również w każdym momencie gotowi są obcować ze śmiercią ale jednocześnie mają przekonanie, że oni sami nigdy nie będą na nią narażeni.

Wówczas budzili we mnie ciekawość i pociągali mnie jak ciągnie człowieka niebezpieczeństwo, jak wrażliwych pociąga przepaść lub woda pod mostem. Cóż — pomyślałem — przecież to tylko gromada umundurowanych ludzi. Czy tylko? Nie. Było pewne jeszcze, że wszyscy tu należą do spisku, mającego na celu wprowadzenie w błąd cudzoziemców. Wtedy właśnie, kiedy już zaczynałem wycofywać się ku drzwiom wzrok mój padł na mówcę. Zwróciłem uwagę na jego gesty, na to jak się porusza, co robi kiedy mówi. Zastanowiły mnie przede wszystkim ruchy rąk. Za chwilę już byłem pewny, że w tej niesłychanej karierze odegrały ogromną rolę, że w jakiejś mierze dzięki nim to niepozorne indywiduum znalazło się na czele wielkiego narodu.

Obserwowałem reakcję słuchaczy na gesty mówcy. Nie było wątpliwości. Żywa była niż na słowa. Na pierwszy rzut oka spostrzeżenie to mogło wydać się absurdalne, a jednak tak było. Z najwyższą uwagą śledziłem Hitlera. Za każdym jego poruszeniem natychmiast przenosiłem wzrok na salę. Ruchy rąk mówcy były celowe, precyzyjne i oszczędne. Szybko spostrzegłem, że szczególnie jednym sugestyjnym ruchem prawej ręki, jak zaklinacz wprowadzał słuchaczy w stan histeryi. Wszystkie jego gesty — sam zazwyczaj był napięty, nieruchomy — były najczęściej ruchami owej prawej ręki z góry na dół. Lewa przeważnie przylegała posłusznie do ciała, jakby sparaliżowana, podobnie jak w postawie na baczność. Podkreślała jeszcze bardziej wymowność gestu prawej ręki. Było to energiczne skinienie — niekiedy z przerwą w środku lub po linii łamanej — zniecierpliwione skinienie zakończone sprężystym wyrzutem dłoni w dół, przy równoczesnym historycznym lecz jednocześnie bezczelnym, dumnym i zuchwałym wyprostowaniem kilku palców albo jednego w kierunku podłogi lub pierwszych rzędów. W tym samym momencie mówca głowę zadzierał do góry. Jakby dla podkreślenia poprzedniego gestu.

Wszystkie oczy z chwilą gdy się podnosiła przywierały do tej kulgarzkiej dłoni i potem śledziły z najwyższą pilnością jej drogę z góry na dół. Tu, gdzie zamierała na pewien czas, odrywały się od niej niechętnie i nie odrazu. Jednocześnie z wprowadzeniem w ruch prawej dłoni mówca unosił się lekko — nie za wysoko, dokładnie jak należało — i

w momencie gdy palce celowały w miejsce na ziemi, sam opadał. Tylko podbródek zadzierał do góry. Nigdy nie pomylił kolejności tych ruchów, również nie wykonywał ich mechanicznie ani monotonnie. Za każdym razem czynił je jakby po raz pierwszy, zawsze z uważnym namysłem.

Zwróciłem uwagę, że ten rodzaj gestów z góry na dół ma w sobie coś konkretnego i ścisłego, w ten sposób zmusza wyobraźnię słuchaczy do posłuszeństwa, wymusza uległość i karność, jest staranny, nawet pedantyczny, co razem wywołuje w widzu przekonanie, że mówca ma rację, że trafił w sedno rzeczy. Przekonanie zrodzone wbrew woli słuchającego, powstałe w podświadomości, nie podlegające kontroli, stąd niebezpieczne.

Ponieważ ruch taki wygląda jak uderzenie biczem, jednocześnie grozi i przestrzega. W umyśle słuchacza kojarzy się z bólem. Podświadomie oczywiście. Słuchacz nieuprzedzony chętniej dzieli entuzjazm mówcy, ponieważ również nieświadomie, decyduje się przyznać do tych, którzy ów ból będą zadawać — nie doznawać.

Nie są to wszystko uczucia kontrolowane ani takie, że łatwo znaleźć chętnego, by się do nich przyznał. I to też powoduje, że magik szybciej osiąga cel, jeżeli dobrze zna tych co go słuchają. Oceniać musi zimno, nie ulegać emocjom. Ten, który tu z pianą na ustach groził każdemu, wszystko to przewidywał i przygotował starannie. Tą przewrotną drogą trafiał do zakamarków psychiki człowieka, mrocznych i budzących wiele zamyśleń. Chytrze aktywizował je. Dzięki takiej metodzie garstka ludzi z początku tylko nierozważnych po niewiele lat stała już postrach w tym genialnym narodzie, w którym chęć zemsty, chęć podległości, zmysłowość i okrucieństwo ułożyły się zgodnie w harmonijną całość.

Balet na mównicy, który oglądałem, działał na tłum — jeżeli był starannie dobrany — jak hipnoza. Przekonał tych, którzy na moment zwątpili, przechrzył szale w jakiejś chwili decydującej a już na pewno te pierwsze sto tysięcy pomocników rzeźniczych uległo głosowi i gestom, w mniejszej mierze słowom. Te pierwsze sto tysięcy, które rozstrzygnęły o powodzeniu hecy, te, które były jądrem spisku.

Zjawili mi się w oczach inni mówcy. Hitler budził przekonanie, że chodzi po ziemi i pokazywał ziemie. Przeciwnie niż chaotyczne ruchy innych mówców, gesty zazwyczaj wiodące z dołu do góry — celnie będzie gdy powiem, ku górze — podniosłem, każdorazowo, odwołując się do obowiązków i uczuć moralnych a więc nie będących w cenie. Wśród tych, którzy Hitlera słuchali. Gesty prowokujące niechęć i powątpiewanie, nie budzące postępu, przyjmowane podejrzliwie. Tych Hitler unikał starannie. Wyglądają bowiem jak narodzone z lęku, nie pewności siebie. Pokazują późność, mierzą w puste niebo, na którym nic nie ma.

Takie zachowanie się przemawiającego w tej sali, wśród tutaj zebranych — jeśli by się w ogóle zgromadzili — obudziłoby wzruszenie, lecz jedynie ramion.

Kiedy wychodziłem z podziemi ratuśka i potem gdy idąc ulicami Monachium wciągałem głęboko w płuca powietrze, kiedy obserwowałem z ulgą ukośne światło późnego

W świetnym przekładzie Tadeusza Jana Dehnela ukazała się nakładem MON opowieść pisarza angielskiego (znanego naszym czytelnikom z uprzednio przełożonego „Hannibala”) Harolda Lamba „Cyrus Wielki”. Lamba pasjonują wielkie postaci wodzów w pradawnej historii, przy tym ten historyk posiada wspaniały dar wyzwywania się w najbardziej odległe, opisywane przez siebie epoki. Dlatego chyba może kusić się o mocno wsparte fantazją opowieści o ludziach, w stosunku do których przekazy historii przekazywały nam niestychanie mało. Tak jest przecież i z postacią Cyrusa Wielkiego, twórcy państwa perskiego, które w zmieniających się formach przetrwało wszakże do dzisiaj przez 25 wieków.

Z kolei o czasach bliższych, znaczących już bogatą dokumentacją. Dobrze się stało, iż MON opublikował głośno dwie książki Stanisława Szenica w jednym tomie „Mars i Syrena”. Kapitałny to, ze swadą i znowstem wyrosły w oparciu o dokument, obraz militariów warszawskich, wiodący czytelnika przez wieki XVII, XVIII i XIX, od najazdów szwedzkich, przez pruskie i austriackie, do Francuzów w Warszawie, wydobytych z zapomnienia także malowniczo sieniawskich postaci, do szeregów i szeregowików raz rodem ze świetnej anegdoty, kiedy indziej smutnych jeśli nie zgoła tragicznych.

A teraz już czasy bardzo nam niedawne, w „Bibliotece Wiedzy Wojskowej” opublikowano tom pamiętników marszałka Mikołaja Woronowa, głównodowodzącego artylerią radziecką. Autor sięga jednak dalej jeszcze, do

swej kariery artylerzysty, do wspomnień z walk w Hiszpanii, dopiero przechodzi do ostatniej wojny. Leningrad, Wołga i Don, obrona Moskwy, a potem ofensywa zwycięska na zachód zakończona salwami spełniającymi rolę symbolu. Ta książka-dokument „Artyleryjskim szlakiem”, nawet laikowi

Eugeniusz Pauksztla

Pod znakiem Marsa

uprzątnię rolę artylerii, jej zmasowanych uderzeń we współczesnej wojnie. A przy tym Woronin pisze tak bezpośrednio, relacjonuje ciekawie, odsłania wiele nieznanych szczegółów, choćby związanych z postacią Stalina, iż książka wciąga i niefachowca.

Od artylerii przejdźmy do czołgów z książki Anatola Ananiewa „Czołgi idą rombem”. Tym razem chodzi o czołgi hitlerowskie, atakujące zmasowanym uderzeniem pozycje radzieckie w pierwszych dniach głośnej bitwy pod Kurskiem. Ananiew walczył na tym odcinku i relacjonuje swoje wrażenia ubrane w formę beletrystyczną. Autor główny nacisk stawia na morale żołnierza, na jego psychiczną gotowość walki, kiedy staje się możliwa obrona nawet przed pancernymi przeważającymi siłami. Kilka sylwetek zarysowanych w książce, jest naprawdę pięknych. A przy okazji ożywa raz jeszcze przed czytelnikiem obraz drama-

tycznych zmagani tak jeszcze niedawnego czasu.

Opowieści lotnicze Bohdana Kaznowskiego „Na południe od Andromedy” nie mają pretensji do wielkiej literatury, czasem stoją na pograniczu dobrego reportażu, ale wszakże jest w nich jakaś nutka poezji, wypływająca może z urzeczona przestworzem, ze zdobycia przez człowieka umiejętności latania, tak iż czyta się je z wyraźnym przejęciem. Zresztą w centrum zainteresowań autora stoi człowiek, pilot, który obok upojenia lotem przeżywa i załamania lęku, który zarazem kocha latanie i nie zrezygnuje z niego za nic w świecie. Bardzo polecałbym tę książkę młodzieży.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu anonsuję część drugą głośnej książki Dietera Nolla „Przygody Wernera Holta”. Ta część nosi podtytuł „Historia pewnego powrotu”. Jest to powrót bohatera z wojny i historia szukania własnego miejsca w nowym świecie, który obecnie przed stawia się Holtowi zupełnie inaczej i, coraz częściej zdradza w nim ostry bunt. Związana z wojną część poświęcona ukazaniu stosunków krótko po wojnie w strefach zachodnich Niemiec. Ale i w strefie wschodniej nie wszystko było proste i łatwe. Jak wynieść siebie z nieznaną wiarą w dobro i sprawiedliwość, jak samemu w jakimś stopniu potrafić się do nich przyciągnąć — oto pytania jawiące się przed młodym jeszcze, choć ciężko doświadczonym człowiekiem — bohaterem książki.

Z KSIĄŻKA NA TY

popołudnia jak kładło się na jezdnie, jeszcze ciągle miałem w oczach Hitlera i słuchających go jak w ekstazie dostojników nazistów. Z otwartych okien słyszałem okrzyki aprobaty wypełniające przez głośnie jak ogromny szum morza pokoje domów, z których wiele wkrótce miało zmienić się w gruzy. Na ulicach pełno było połamanych krzyży i ludzi z trupimi czaszkami na czołach lub w koszulach zajęczego koloru.

Jak tamten wygrał Europie i światu i wyglądał na to, że są dumni z czynów odrażających, które mają za zadanie zatrzeć ów świat i wprowadzić go w podziw i których ilość i okropność w istocie doprowadziła wielu do stanu odurzenia i niewrażliwości. Aby pełniejszy jeszcze osiągnąć sukces chytrze i z rozmysłem pomiesza się pojęcia etyki, mordu i obowiązku, by w rezultacie osiągnąć przeświadczenie, u okrutnych i nierozumiejących, że nie ma tak odrażającego czynu, który jednocześnie nie mógłby zostać uznany za spełniony w poczuciu jakiegś powinności.

Na placach Monachium płoły przerażające stosy z książkami. Oświeceni Europe, wprowadzali ją w osłupienie, lecz nie przestrzegali. Ogromne stogi wzniesione z dzieł pisarzy, którzy poszerzyli granicę powszechnego piękna i rozsądku.

Palący książki — wkrótce palić będą ludzi.

BOGDAN RUTHA

Przetwórnictwo „złotego złota”

Dokończenie ze str. 1

hodowli, ekonomistów, mechanizatorów. Stanowią oni niezbędny pomost, łączący przodującą teorię z codzienną praktyką. Oto w podbelgradzkim instytucie doświadczalnym dr Milorad Piper przez szereg lat trudził się nad wyhodowaniem rodzimej hybrydy kukurydzy. Jego „Krzyszówka Prosta” okazała się prawdziwą rewelacją. Staparczycy pierwsi sięgnęli po odmianę dr. Pipera i temu zawdzięczają swój sukces.

Pierwszym rekordzistą i laureatem tegorocznej nagrody jest Turica Bajcew. Uzyskał on 115 kwintali ziarna kukurydzy z hektara. Swoje gospodarstwo nazywa przetwórnictwem „złotego złota” w mięso i produkty hodowlane. Ze swoich 8 hektarów sprzedaje w ciągu roku ponad 3 tony żywa — głównie bekoniów i walców. Z dumą oprowadza gościa z Polski po swoim gospodarstwie, demonstruje zastosowaną przez siebie mechanizację prac — różne młynki, mieszalnice itp.

O tytuł mistrza urodzaju walczy kilkudziesięciu gospodarzy, zrzeszo-

nych w specjalistyczną grupę kooperacyjną, pracującą w ścisłym powiązaniu z „zadrugą”. Utworzyli oni własny fundusz premii, przeznaczony na coroczne nagrody dla czołowych kolektywów. Opodatkowali się dobrowolnie na ten cel, deklarując z każdego hektara po 100 kg kukurydzy. Ta właśnie grupa najlepszych pociąga za sobą wieś. Użykiwanie dwukrotnie wyższych plonów, to nie odparty argument dla tych, którzy dotychczas trzymali się z dala od „zadrugi”.

Wizytę u gościnnych staparczyków kończą w domu rodziny Budimaców. Gospodarze chcieli pokazać nie tylko owoce swej pracy, lecz również klimat codziennego życia, zwyczajów. Przy stołach na otwartej werandzie zasiadli — oprócz domowników — przedstawiciele „zadrugi”, sąsiedzi, wiejscy aktywiści. Potoczyła się rozmowa na temat osiągnięć i trudności w rozwoju rolnictwa obydwu krajów. Szczegółowo musieliśmy tłumaczyć zasady naszej polityki rolnej, dotychczasowe jej sukcesy i zamierzenia na najbliższą przyszłość.

Domowa rakija robiła jednak swoje. Dziadek Budimac oświadczył, iż gość z Polski musi zobaczyć jak bawią się Serbowie. Zaczęto wznosić toasty, ktoś zanucił motyw jakiejś popularnej melodii. Podchwycili ją natychmiast wszyscy. I odtąd już dziadek Budimac i Turica Bajcew rozpoczynali coraz to nowe pieśni, których zawołanie refreny niosły się w wieczorną ciszę niespokojnym rytmem orientu...

FELIKS BIŁOS

Przeglądamy Prasę

Dzień Górnika, to przede wszystkim święto Śląska, chociaż z każdym rokiem coraz więcej górników jest także poza Katowickiem. Nic tedy dziwnego, że czasopisma zajmują się z barburkowej okazji jednak jeszcze przede wszystkim Śląskiem. Tak jest i w tym roku. Chciałbym wskazać zwrócić uwagę nie na publikacje dotyczące bezpośrednio górników, lecz na dwa artykuły dwóch czasopism, które występują z problemem:

UNIwersytet KATOWICKI CZY JAGIELLOŃSKI W KATOWICACH

Sprawy powołania uniwersytetu na Śląsku dyskutuje się już od ponad 40 lat. Przypomina to Tadeusz Kijonka w „Kulturze”, gdzie opublikował artykuł „O pełny uniwersytet”. Ten postulat bierze się stąd, iż przed trzema laty powstały w Katowicach zaczątki Uniwersytetu w postaci filii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Autorowi idzie o to, by w tej filii szeroko

rozbudować kierunki humanistyczne, bez czego — jego zdaniem rozwój kulturalny Śląska nigdy nie będzie pełny, bo nie dostanie wsparcia w postaci ośrodka promieniującego na ludzi tworzących i kształtujących tu życie umysłowe i kulturalne.

Sprawę rozwoju filii uniwersyteckiej w Katowicach porusza też Marian Cieślak w „Życiu Literackim”. Autor przedstawia dwie koncepcje: jedna zmierza do usamodzielnienia się tej filii i przekształcenia w samodzielny Uniwersytet Katowicki; druga zmierza do trwałego powiązania obu (katowickiej i krakowskiej) w pełni samodzielnymi placówkami na zasadach równorzędności i wzajemnego uzupełnienia się.

Jest to idea uniwersytetu Polski południowej, uniwersytetu dwóch ośrodków i dwóch samodzielnych, lecz uzupełniających się placówek, współdziałających z sobą i organizacyjnie z sobą związanych. Właśnie te idee autor gorąco popiera, widząc w jej realizacji wielką szansę dla naszej nauki i kultury w ogóle.

POTRZEBA WYOBRAŹNI SOCJOLOGICZNEJ

„Kultura” drukuje rozmowę z prof. dr. Janem Szczepańskim, który niedawno wybrany został przewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego. Z

tęgo interesującego wywiadu cytujemy odpowiedź profesora na pytanie, jakie zagadnienia współczesnej Polski wymagają — jego zdaniem — przede wszystkim badań socjologicznych.

„Sądze, że budowa socjalizmu wymaga przede wszystkim rozwoju tych dziedzin, które są użyteczne dla kadry kierowniczej, bowiem poziom umysłowy tych kadry ich zdolności i siła wyobraźni są podstawowymi czynnikami przyspieszonego rozwoju socjalistycznego. Socjologia jest tylko jedną z wielu dziedzin użyteczną w tym zakresie (...). Wiele trudności naszej gospodarki wynika stąd, że planistami są ekonomiści, którzy sądzą, że można uniknąć chaosu, planując rozwój złożonych systemów, ale obejmując planowaniem tylko niektóre ich elementy. Na przykład: jeżeli mamy układ złożony z 20 elementów, a planowanie dotyczy tylko pięciu spośród nich, reszta zaś przebiega spontanicznie, to wtedy, rzecz jasna, planowanie takiego systemu wywołuje tak wiele zjawisk nieprzewidywanych i niepożądanych z punktu widzenia realizacji planu, że musi to prowadzić do zaburzeń. Kto nie wierzy, niech przyjrzy się funkcjonowaniu wielu dziedzin naszej gospodarki.”

„NIEMCY NIGDY WOJNY NIE CHCIAŁY”

Znamy to twierdzenie aż nadto dobrze: tak twierdził hitlerowcy, tak mówią przedstawiciele bońskiej władzy, to głosią przywódcy neonazistowskiej partii Niemiec Zachod-

nich — NPD. Niedawno partia ta weszła w skład parlamentu Hessji i Bawarii. O tym, jakim programem posługują się zachodnoniemieccy neofaszyści, świadczy ulotka NPD, wydana w maju br. w postaci „Listu otwartego hrabiego Plettenberga do kardynała Doepffnera”, którego fragmenty drukuje „Polityka”. „Eminencjo! Zwracam uwagę narodu niemieckiego — czytamy w ulotce — na fakt, iż już o to od lat 20 bezustannie mówię się o niemieckich — czytaj: hitlerowskich — zbrodniach, że czci się pamięć ofiar narodowego socjalizmu, a od lat ośmiu byli zbrodniarze hitlerowscy są świętymi i stale skazywani (w międzyczasie już 80 tysięcy!) (...) Powstałe z tego powodu, wśród szerokiej kół dorastającej młodzieży całego świata, fałszywe wrażenie, jakoby zbrodnie były po spełnieniu tylko przez stronę niemiecką i jakoby wszyscy nasi wrogowie byli „dzientelmanami”!

Tęgo rodzaju widocznie świadome ignorowanie zbrodni popełnionych przez wrogów, doprowadziło do potępienia wyłącznie Niemiec, co jest tym bardziej groteskowe, że Niemcy nigdy nie chcieli wojny w ogóle a tym bardziej wojny światowej! (...)

Eminencjo! Czcigodny Pan Kardynał Frings określił w swoim czasie słusznie „denacyfikację” mianem inkwizycji Niemiec i powiedział, że jest ona hańbą dla niemieckiej historii, ponieważ stawia się przed sądy specjalne ludzi za ich polityczne przekonania! Tęgo, Eminencjo, nie czynili nawet narodowi socjaliści, kiedy doszli do władzy! Przeciwnie

oni przyjęli nawet swoich dawnych przeciwników do partii”.

O tym zaś, co było później ulotką NPD nie wspomina. Ale my pamiętamy bo sami doświadczyliśmy.

☆
Ponadto: W „Polityce” Józef Grabowicz próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy rozwój w wsi staje się zjawiskiem społecznym i jakie konsekwencje spowoduje fakt rozrodzenia się małżeństw chłopskich (artykuł „Rozwój po chłopku”). W tym samym tygodniku znajdujemy odpowiedzi dalszych czterech przedstawicieli resortów i placówek, związanych zaspokajaniem potrzeb rynku na pytania redakcji związane z ankietą i akcją publicystyczną „Na końcu ogonka”. „Prawo i Życie” przynosi publikację Jacka Wilczura pt. „W czym interesie?” omawiająca źródła i cele ukazujących się na Zachodzie publikacji szkalujących Polskę i Polaków. „Życie Gospodarcze” w cyklu „Przedsiębiorstwo/sztuka zarządzania” przynosi artykuł Włodzimierza Jaśkiewicza „Dlaczego godziny nadliczbowe”, w którym autor na podstawie przeprowadzonych badań dowodzi, iż wbrew ocenom kierownictwa przedsiębiorstwa większość robotników wcale nie jest zainteresowana pracą w godzinach nadliczbowych. „Tygodnik Demokratyczny” piórem Bogusława Reichharta porusza problem sklepów komisowych i nawołuje do zmian w tych placówkach handlu, tak aby komisarzy przestały być dyktatorami tego, czym chcą handlować. Na zakończenie hasło tygodnia ze „Szpilek”: „Bądź optymistą z własnej woli!”